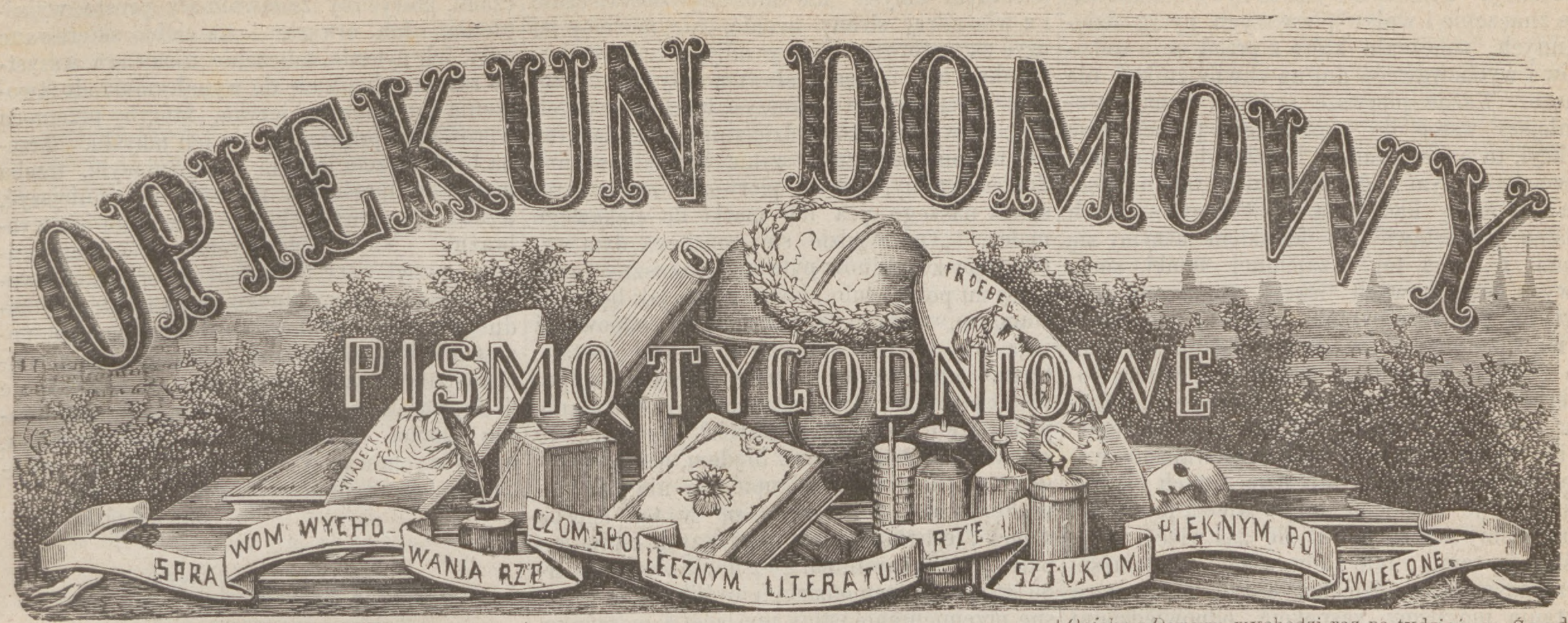
Nr. 30. Warszawa dnia 17 (29) Lipca 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 3 k. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	„ 1 „ 80	półrocznie	„ 2 k. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie	„ 30	w Prusach	„ 5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środę
Skład Główny w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego
NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

Pierwsze pytania.

„Ojcze dlaczego to?“... „Mamo! a skąd to?... a po co to... i do czego to?“... Któż z czytelników chociażby mimowoli nie zauważył tej epoki dziecinnej, kiedy to owe właśnie pierwsze pytania, owe natrętne „dlaczego“ wyrywają się ustawicznie z ust malca? Na cokolwiek spojrzy, gdziekolwiek zwróci pełne naiwnej ciekawości oczęta, o cokolwiek młodziuchne wyobrażenie potrąci, wszystko to staje się przedmiotem pierwszych pytań dziecinnych wszystko wywołuje: „dlaczego?“ Objaw to tak powszechny i naturalny, że na samym skonstatowaniu go tylko śmiało poprzestać można. Lecz czy zdajemy sobie sprawę, jaką mianowicie w systemie wychowawczym objaw ten odegraćby powinien rolę, czy staramy się go ochronić, wyzyskać i obrócić na korzyść pedagogicznych względów, oto kwestyja godna w istocie bliższej nieco uwagi.

Przedewszystkim nasuwa się pytanie, jakie wpływy rozbudzają w 5-cio lub 6-cio letnim dziecku tę ustawiczną a nienasyconą ciekawość, co je popycha na tę drogę pierwszej a tak żywej obserwacyi zjawisk zewnętrznych? Wszakże widzimy, że setki i tysiące ludzi dorosłych kręcąc się w kole wielu również faktów nieznanych, widząc np. codziennie i na każdym kroku mnóstwo zjawisk fizycznych, nie dobijają się jednak zbytecznie o ich bliższe poznanie, nie żądają ich wytłumaczenia. Tysiące ludzi patrzy obojętnie, nawet *bezwiednie* na wznoszące się nad ich głowami objawy, tysiące nie pytają o nieznaną im przyczynę gradu lub deszczu, gdy natomiast rzadko które z dzieci patrząc na to samo zjawisko, nie zapyta: „momo! skąd się deszcz bierze? Jakaż więc, powtarzamy, siła kieruje tą ciekawością dziecinną i obudza w wyższym aniżeli u dorosłych stopniu chęć dociekania prawdy. Czy gra tu jedynie rolę pewien instynkt — prosta ciekawość bezmyślna? Naturalnie w znacznym stopniu nazwać to można instynktem; niemniej jednak działa tu najprzeważniej jedna z władz umysłowych dziecka, działa to i góruje po nad wszystkim *wyobraźnia*. W tej właśnie epoce o jaką obecnie nam idzie, wyobrażnia w umysłowym gospodarstwie dziecka, piastuje urząd dyktatora. Pod jej władzą naczelną odbywa się cały proces przyjmowania wrażeń i tworzenia pojęć; wyobraźnia wprawia umysł dziecka w ciągłą ruchliwość, słowem, jest władzą rozwiniętą najsilniej. Że zaś zasadniczą cechą wyobraźni, jest niezmierna wrażliwość na świat zewnętrzny, przeto naturalnym wynikiem tej jej cechy i właściwości musi być rozbudzana chęć poznawania otaczających przedmiotów, muszą być owe mnożące się ustawicznie szeregi pytań dziecinnych. Pytania te więc zaspakajać, to znaczy działać na umysł dziecka w najszczęśliwszej i najodpowiedniejszej chwili, bo w chwili najbardziej czynnej wyobraźni, w chwili przeto, gdy do umysłu wszystko najłatwiej i najszybciej przylega. Cokolwiek do świadomości dziecka w epoce tej przeniknie, co na wyobraźnię bezpośrednio oddziała i co ją zaspokoi, to pozostawi po sobie niestarte ślady, stanie się trwałą własnością młodocianej myśli.

Jak więc tej fazy pierwotnego umysłowego rozwoju lekceważyć nie można, jak przeciwnie otaczać ją należy najtroskliwszym wychowawczym staraniem, tak też nie można braćbiernie czy obojętnie pierwszych pytań dziecinnych nie można puszczać mimo uszu owych ustawicznych: „dlaczego.“ Dzieci! dzieci! powiada Legouvé; kochamy was uczuciem głębokim a jednak, nie wiemy w zupełności czym dla nas jesteście. *Wasze proste zapytania* otwierają nam oczy, potrzeba kształcenia zmusza nas do rozpoczynania lub powtarzania własnej nauki, wam wszystko jesteśmy winni nawet to co wam dajemy!“ Jeżeli w zdanie to wnikniemy głębiej, nie dostrzeżemy w nim

ŚLADY ŻYCIA.

XXX.

Tyle życia, ile... w czynie.

Kielce 20 Lipca 1874.

Uwagi ogłoszone przezemnie w przeszłej korespondencyi obudziły ducha polemicznego w nowoodrodzonej „Gazecie Kieleckiej.“ Barwa tej odpowiedzi. piętrzącej się od retorycznych zapytań i wykrzykników, jest zaprawdę czysto-miejscową. Dowiadujemy się tu że ś.p. Gliszczyński żył w Kielcach przez 9 miesięcy na łasce *litościwych osób*, że choć „z powodu swych *przekonań* nie miał prawdziwych przyjaciół“ „bywał codziennym gościem w kilku domach“ a na parę dni przed śmiercią oddychał wonią obficie składanych mu potraw, które go przecież mniej daleko niż śmierć i spoczynek grobowy nęciły.

Choćbyśmy byli względem danej kwestyi jaknajsceptyczniej nastrojeni, wyjaśniony w pewnym stopniu charakter zmarłego i świadectwo lekarza przemawiają za *wzorowo biernym* a mimo to *chrześcijańskim* zachowaniem się mieszkańców Kielc wobec śmierci Gliszczyńskiego. Nigdy też nie myśleliśmy o *zdrodnią zagłodzenia* kogokolwiek posądzać a tym bardziej zarzucać na seryjo bogobojnemu miastu formalne zaniedbanie praktyki miłosierdzia. Donosząc zaś wiadomość *o głodowej śmierci*, byliśmy poprostu echem powszechnego głosu jaki się podówczas po domach i ulicach w zgodnym chórze rozlegał. Sami zaś zaczerpnęliśmy ją z najczystszego źródła, bo bezpośrednio od spowiednika... Dziś to niby otyle dla kielczan wyjaśniono, że wiemy już o jakiejś pomocy, niesionej zmarłemu na krótki czas przed śmiercią w postaci grosza i pokarmów. Reszta, pod którą rozumiemy wczesne, zapobiegające środki, była jak się zdaje zgoła niemożliwą; gdyż niepotrzebnie cytowane przez Gazetę K. słowa antobijografii o rzekomej *„drugiej rodzinie“* są zbite przez nią samą, w szczęśliwą porę uchylenia retorycznej maski, gdy mowa o tym że w Kielcach M. G. „z powodu swych przekonań... niemiał prawdziwych przyjaciół, a zatym i żadnej *drugiej* nie mógł mieć *rodziny*.

Ponieważ zaczepiliśmy o Gazetę, nie odrzeczy będzie kilka słów o jej wadze, barwie i języku powiedzieć. Pisemko to stara się spełniać swe zadanie, bo stojąc na poziomie umysłowego rozwoju okolicy usiłuje widocznie jej materyjalnym i moralnym odpowiedzieć potrzebom. Napotykało jednak na swej drodze podobnie jak wszystko, co ma żyć i walczyć, na liczne przeszkody, niezawsze jego skromnym odpowiadające siłom... Najważniejszą jest miejscowy pijetyzm i jezuityzm, następnie, wpływ okolicznej szlachty i czysto indywidualne uroszczenia. Jaką postawę wobec tych nieprzyjaznych społecznemu rozwojowi żywiołów, przyjmie prowincyjonalny organ, przyszłość okaże. Dziś (oile z kilkunastu numerów sądzić nam wolno) niewielką ono objawia skłon-

przesady. Przeciwnie jest tu żywo odmalowane znaczenie i wpływ pierwszych pytań dziecinnych, znaczenie które z przed oczu rodziców i wychowawców ani na chwilę znikać nie może. Każde pierwsze pytanie, to najsposobniejszy wstęp do popularnej a pełnej treści lekcyi, to najistotniejszy bodziec do pracy nad rozciekawionym i zgłodniałym umysłem dziecka i do pracy nad sobą. Niechcąc w oczach malca przedstawić się nieukiem uczymy się sami, a suma tej wzajemnej nauki, suma owych gawędkowych lekcyj, suma odpowiedzi na pierwsze pytania dziecinne, to jeden z najważniejszych rezultatów pedagogicznych, to rezultat decydujący ostatecznie o umysłowej wychowanka przyszłości. O ile baczniejszą zwracaliśmy uwagę na naiwne „dlaczego" o ile większą i głębszą przywiązywaliśmy wagę do pierwszych pytań dziecinnych i staraliśmy się je zaspokoić, o tyle więcej pracować musieliśmy nad sobą. O ile zaś więcej uczyliśmy się sami, o tyle znów więcej wiadomości przekazywaliśmy dziecku, o tyle natarczywe pytania mogliśmy zaspokoić odpowiedziami całkowicie inkwirenta zadowalającemi i o tyle w jego umysł wprowadziliśmy najzdrowsze i najpożywniejsze pierwiastki. I oto logiczne następstwo głębszego oceniania i umiejętnego spożytkowywania pierwszych pytań dziecinnych. A następstwo to doniosłości niemałej. Ten świeżo rozwijaiący się a łaknący umysł nakarmić najodpowiedniejszą dlań strawą, rozpalić w nim miłość i żądzę nauki, pchnąć go na drogę samodzielnej pracy, zrobić go tym sposobem mocnym i niezależnym i zapewnić mu samodzielny postęp, czyż może być więcej pożądanym i bardziej płodnym ostateczny rezultat wychowawczych dążności?

Lecz z pola teoryi przechodząc w sferę stosunków praktycznych postawmy wprost pytanie, czy u nas czy w naszym systemie wychowawczym pierwsze pytania dziecinne są odpowiednio uwzględnione, czy co więcej, są one zaspokojone odpowiedziami *we właściwej formie* i czy sprowadzają dla młodocianych umysłów owe błogie a przed chwilą wymienione następstwa. Niestety, ani jedno ani drugie, ani tym samym, trzecie. W obec licznych braków jakiemi prześwieca nasza wychowawcza metoda, brak należytego uwzględnienia owej władzy moralnej dziecka, owej potęgi twórczej: *wyobraźni* jest u nas bodaj czy nie najwięcej rażącym. Tej siły górującej w młodocianym umyśle nie możemy dostatecznie i z właściwej strony ocenić, nie możemy jej użyć za motor rozwijający umysłowość wychowanka, nie umiemy słowem siły wyobraźni dziecinnej obracać na korzyść wychowawczych względów. U nas, to dziecinne po tysiąckroć powtórzone „dlaczego" ginie bez odpowiedzi. Zaobserwujmy, tylko pierwszy lepszy stosunek naszego ojca lub matki do ciekawego malca. „Ojcze gdzie się podziewa dym wychodzący z kominów pyta np. rozkoszny Jasio. „Daj mi pokój" lub „dowiesz się jak będziesz starszym," o to najzwyczajniejsza odpowiedź jaką ów żywy i spragniony umysł dostaje. Czym jednakże, w gruncie rzeczy jest odpowiedź podobna, czym jest *podobne* zaspokajanie pierwszych pytań dziecinnych? Błędem?... to zamało. Jest więcej niż błędem, jest pedagogicznym, niczym już odkupić się nie dającym występkiem. *Pozbywanie się* w ten sposób dziecka jest tłumieniem pierwszych iskier zapału, jest wyzuwaniem go z najdroższego skarbu człowieka: samodzielnej myśli, jest to wczesne przemienienie istoty myślącej w maszynkę. Dziecko zrażone raz, nie powróci już więcej do zajmującej jego wyobraźnią przedmiotu, a zrażane systematycznie, traci zdolność widzenia, traci zmysł obserwacyjny i zaprzestając już swych naiwnych pytań, popada ostatecznie w pewien rodzaj umysłowej martwoty.

Czy podobnej konsekwencyi lekceważenia pierwszych pytań dziecinnych mamy u nas dowody? Niestety mamy ich za dużo, tak jak umysłów rzutnych, wytrwałych i samodzielnych umysłów, umiejących sobie radzić i o własnej sile iść *naprzód*, znamy tylko wyjątki. I niezawahalibyśmy się też powiedzieć, że stopień uwzględnienia pierwszych pytań dziecinnych, rozpalania młodych umysłów żądzą niezależnej wiedzy w najwłaściwszej ku temu dobie, stanowi poniekąd normę samodzielności zbiorowej.

Lecz gotów tu kto zainterpelować: „a czyż to tak łatwo zaspokajać z dobrym skutkiem owe pierwsze pytania? Czy 5-cio letniemu malcowi tak łatwo wytłumaczyć jakieś zjawisko fizyczne? Zapewne jest to trudność nielada; lecz w pokonaniu tej to właśnie trudności spoczywa sam rdzeń zadania dzisiejszych wychowawców, jak znów zdobywaniem i posiadaniem *sztuki przemawiania do dzieci*, warunkuje się suma ich pedagogicznej wartości. „Dzieci, powiada Legouvé, nie są zwykłemi słuchaczami, którychby zadawalniały proste wyjaśnienia. Ich otwarte i na ciebie skierowane oczy, ich pytanie, milczenie, nieuwaga, wszystko razem skłania cię do wynalezienia, do stworzenia specyjalnego języka, któryby przemocą wprowadził przedmioty do ich umysłu. Trzeba być zarazem jasnym i zajmującym, trzeba wszystko uprościć a niczego nie zmniejszyć, trzeba przedewszystkiem mówić do ich wyobraźni." Niech więc wychowawcy nasi pracują przedewszystkim nad stworzeniem owego właśnie „specyjalnego języka" któryby żadnego z pierwszych pytań dziecinnych nie pozostawił bez odpowiedzi rodzącej szeregi najzbawienniejszych następstw, a wtedy jedynie dosięgną oni wysokości swego zadania; dorosną ducha czasu i potrzeb społeczeństwa, wtedy wychowawcy dzisiejsi, staną się prawdziwemi twórcami *lepszej przyszłości.*

Jan Jeleński.

Z ŻYCIA ARTYSTY.

Piękny młodzieńcze, o wyniosłym czole
O czym tak dumasz? zachwyt na twej twarzy
Mówi, że serce o czymś słodko marzy,
Że myśl twa błądzi w czarodziejskim kole...
—Widzisz siwiznę, co mi głowę bieli?
Pozwól niech starzec twoję myśl podzieli!

Zerwał się — spojrzał, twarz spłonęła młoda,
Oko się dziwnym ogniem zaiskrzyło,
Zadrżało serce z niezwyczajną siłą...
Biedny marzyciel! jakaż złudzeń szkoda!
Może za sławą myśl wyniosła goni...
Niech marzy słodko! — któż marzyć zabroni?—

Lecz słuchaj, synu, tobie się wydaje,
Że świat ten piękny sprawdzi sen młodzieńczy,
Że liściem lauru twoję skroń uwieńczy
I czarodziejskie otworzy ci kraje...
Chcesz być artystą, sztuce służyć wiernie...
Lecz, znając kwiaty, czy ty znasz jej ciernie?

Czy ty wiesz o tym, że w życiowej burzy
Może te kwiaty smutny los rozwieje,
Że to co dzisiaj do ciebie się śmieje
Może się później złowrogo zachmurzy,
Że czara szczęścia, co tak nęci zdradnie
Może truciznę zwątpienia ma na dnie...

Wyrzec się siebie, rozkazywać sercu
Milczeć, gdy ono silniej zakołata

---

ność do walki z miejscowemi prądami; owszem wszystkie swe siły zdaje się obracać ku pogodzeniu najsprzeczniejszch i w istocie swej niedających się pogodzić zasad. Oile mogliśmy wyrozumieć w N-rze 10 wygłoszone *credo*, w którym Gazeta, odpowiadając na przestrogi „Kroniki rodz." i „Opiekuna" zagadkowo a mozolnie określa swe przekonania, młody kierownik prowincyjonalnej opinii zajmie niejasne stanowisko na przeciętnej między Kroniką rodź. a Opiekunem. Dążąc drogą postępu, będzie z religijną czcią szanował wszystko to, co staje na drodze postępowi, uwzględni jednak pierwiastek ruchu..; śród skrzętnego działania wiernie się zachowa względem apostołów krzewiących zasadę spoczynku... Cóż to więc będzie? —Według wszelkiego prawdopodobiończtwa, będzie to ruch wirowy i obracanie się na pięcie... Bodajby się nie sprawdziły nasze domniemania; bodajbyśmy raczej spostrzegli sprzeczność między tą wyprężoną *confession de foi* a artykułami Gazety.. Sprzeczność ta zreszą w pewnej mierze i dziś jest widoczną, jeśli zauważymy zdrowe tchnienie artykułu „o kruszczu ołowiu" i gawędy „bez tytułu," oraz porównamy niektóre myśli z odczytu p. Bema z wywieszonym w „błyskach i cieniach" sztandarem.

Już niektóre pisma radziły Gazecie zreformować język. My tę radę powtarzamy. Naeżałoby z jednej strony prowincyjonalnemu organowi unikać *prowincojonalnej* napuszystości i tej bezmyślnej, retorycznej gadaniny, która się najczęściej w „błyskach i cieniach" pojawia, (np. w N. 14); z drugiej strony —troszczyć się o jasność i logiczny dobór wyrażeń. Na te ostatnie szczegóły nacisk kładziemy. Zły bowiem obrot i wogóle niestosowne zużytkowywanie form językowych, są jakby chroniczną chorobą Gazety kieleckiej. W N-rze np. 10 czytamy pod rubryką „wiadomości miejscowych" następne doniesienie: „*Idąc ku Karczówce*, w ogródku nad stawem pan W. otworzył mleczarnią..."

W N-rze znów 14 pod tążsamą rubryką donosi nam gazeta, że 13 czerwca tłumy ludu na lesistej górze Karczówce „korzystając z pogody, obok udziału w modlitwach, poiły się jużto *duchowo* (sic!) świeżym, żywicznym powietrzem, jnż też więcej prozaicznie przyprawianemi smacznie pierniczkami i td..." Niepodobna nie pochwalić Gazety, gdy w ciasnym kółku swej działalności przemawia za porządkiem w mieście, gdy stara się wypleć ze społecznego łanu nałóg pijaństwa i gry karcianej, gdy popiera wszelkiego rodzaju pożyteczne stowarzyszenia, gdy wreszcie projektuje założenie publicznej czytelni. Są to poniekąd dowody, że pstra chorągiew, w trudnej może wywieszona chwili, nie zupełnie obowiązuje dosyć trzeźwych, choć bojaźliwych pracowników organu. Z drugiej strony widać, że nieokreślił się jeszcze ich społeczny charakter, że nie są pewni siebie, że na bagnistym stoją gruncie. Jeśli bowiem niekiedy materyjalne pobudki, czy moralne powinowactwo zmusza ich do schlebiania miejscowym chorobliwym prądom, („odważna kobieta," niektóre miejsca w „błyskach" i td.) to kiedyindziej znowu, obok kazań przeciw zbytkowi i zachęty do zakładania stowarzyszeń ekonomicznych, znajdujemy jakiś dobrowolny, pod wpływem uczuciowych pobudek wygłoszony zamiar, który staje w sporze z wypowiedzianym dopiero poglądem i któremu, choćby dla tego samego, przyklasnąć niepodobna. Chcemy tu mówić o zamiarze (patr N. 13) wydrukowania kosztem Redakcyi dwu mów, mianych nad grobem ś. p. Zyg Szymańskiego, oraz wystawienia mu pomnika za zebrane stąd pieniądze. Gdyby to uczyniła rodzina lub niechroniące się pod skrzydła społecznego organu kółko szczerych przyjaciół zmarłego, zgoła byśmy się temu nie dziwili. bo to czyn prywatny, o którym możnaby nawet pod rubryką „wiadomości miejscowych" i w Gazecie wspomnieć. Ale nadawać tej myśli barwę społecznego faktu, którego spełnieniem zajmuje się z *urzędu* jakaś Redakcyja, jest poprostu niedorzecznością. Wolnoby było rodzinie lub przyjaciołom zająć się wydrukowaniem mów pogrzebowych, rozprzedażą broszurek i budową pomnika; choć i wtedy, oile niezbędnym by tu był materyjalny udział szer-

I twarz wesołą mieć zawsze dla świata,
Jakbyś na kwietnym spoczywał kobiercu,
Tamować, gasić zapał płomienisty,
I grać komedyją — oto los artysty;

Uznanie świata... — to pomnik na grobie,
Sława za życia... — okrzyk tłumu pusty,
Co dziś cię sławiąc bezmyślnemi usty,
Jutro zapewne zapomni o tobie,
A mąk nagrodą tobie pozostanie
Opuszczonemu — szpitalne posłanie...

Lecz — jeśli, synu, silna twoja dusza,
Jeśli wytrwale chcesz dążyć do celu,
Jeżeli widzisz, jak skończyło wielu
I obraz taki ciebie nie porusza —
Błogosławieństwo daję ci na drogę —
Uwielbiam ciebie, choć żałować — mogę!

Bodajbym błądził! bodajby to życie,
Los opromienił szczęścia aureolą;
Byś się nie spotkał z nędzą i niedolą,
Idąc uważny wciąż na serca bicie,
A kiedy przyjdzie rozstać się ze światem,
Byś tego życia nie nazwał dramatem!

Stanisław Grudziński.

BEZ OPIEKI

SZKIC POWIEŚCIOWY,

napisała

Maryja Szeliga.

— Jakto?! Panowie kazali mi płacić pieniędzmi za obelgę?! — zawołała Emilka marszcząc brwi niemal groźnie.

— Wybacz pani! sądziliśmy... że pani... nie będąc bogatą... jąkał zmieszany pan Serafiński.

— Jestem ubogą, a przecież, nie przyjmę grosza z tych pieniędzy! uważałabym to za hańbę!... Daj pan ten fundusz kalekom, lub obróć je na korzyść moralnie zaniedbanych dzieci — ja, oprócz zwrotu kosztów, nie dotknę się tych pieniędzy! —

— Serafińscy, mimo poczciwości, byli — co się często zdarza, niezbyt orlich polotów ducha i zadziwili się nieco, że dziewczę biedne, odrzuca ofiarę mogącą stanowić jej posag. Emilją zraziło to trochę do nich i postanowiła opuścić ich dom jak najprędzej. Ale oni nie chcieli o tym słyszeć i tak gościnnie prosili, aby zabawiła u nich dłużej, że nie mogła odmówić ich prośbie.

Wkrótce Emilka zyskała przywiązanie i podziw całego domu. Jej muzyka i śpiew, wprawiały w zachwyt Zosię i Gabryjela— jej żywość i wdzięk, ujęły obojga staruszków. Byli tu dla niej dobrzy i serdeczni, łatwo też było spragnionemu sercu sieroty pokochać tę zacną rodzinę.

Przytym, ognisko to domowe, byłociepłe istotnie. Rodzice i dzieci, kochali się niezmiernie. Szczególniej Gabryjel, był ulubieńcem i pieszczochem rodziny. Jako powracającego do zdrowia, podwójnemi otaczano staraniami, co tworzyło nieraz tak miły obrazek rodzinny — że Emilka poczuła tęsknotę i wspominała sobie, dawno nietykane marzenie z przeszłości o życiu familijnym, z Albinkiem, o cichej rozkoszy domowego szczęścia.

— Nie dla mnie to! — szepnęła do siebie gorzko—a czemu nie dla mnie? —pytała sama siebie ciszej i łzy spłynęły na sukienkę...

— Inne dla mnie drogi wskazuje przeznaczenie! — mówiła do siebie — ale jakie?...

Długo nie wiedziała sama.

— Gdy pani pójdziesz za mąż — zaczął Serafiński.

— Ja!! — krzyknęła Emilka — o! nigdy.

Głuche milczenie zapanowało w salonie. Słuchacze byli przerażeni.

Od tego dnia, cała rodzina mniej życzliwym okiem patrzyła na Emilkę. Pani Serafińska, jak dawniej Skalska, bała się o zły wpływ na swoję córkę. Emilka straciła w jej pojęciu wiele uroku i godności — i gdy, postrzegłszy to, objawiła zamiar powrotu do Warszawy, nie wstrzymywała jej wcale.

— Czy chcesz pani, aby cię odwiózł mąż mój? — spytała tylko.

— Dziękuję pani! pojadę sama! — odparła z wymuszonym spokojem.

I pożegnała ich z prawdziwą serdecznością, Zosi życzyła szczęścia, ścisnęła rękę Gabryjela i ze łzą w oku wsiadła do powozu, patrząc na dwór bielejący wśród ogrodu.

— Mały, cichy raj... nie dla mnie! — powtórzyła z westchnieniem.

— Oni są dobrzy, lecz nic więcej — pomyślała. A gdyby tu mieszkała para rozumnych, podniosłych duchem, kochających się także... Jakież szczęście!... Czyż takie bywa na ziemi? Wiem, że dla mnie go niema! bo moje serce zamarło już od ran życiowych... Nauko! Ludzkości! wam się poświęcę cała!

Emilka prosto z dworca pojechała do swego dawnego lokalu, u państwa Krukowskich. Na szczęście, pokoik był niezajęty i wedle zapewnień gospodyni, odświeżony zupełnie! Mimo, że to odświeżenie czuć było stęchlizną, Emilka z przyjemnością rozlokowała się w dawnem swem pomieszkaniu i prawie wesoło, przepędziła wieczór, choć w samotności, lecz u siebie.

W parę dni dopiero odwiedziła Skalskich, opowiedziała rzecz całą i oznajmiła postanowienie, żądając zwrotu depozytu. Doktor kręcił głową z niedowierzaniem na jej słowa — czym ją obraził okropnie. Powstała drżąca i oburzona i pożegnała się zimno.

— Pieniądze oddam pani natychmiast — mówił doktor krztusząc się nieco.

— Proszę o nie!

— Natychmiast... jak odbiorę, bo są ulokowane...

— Wyjeżdżam za miesiąc. Fundusz mi jest potrzebny.

— No tak! Ale pani jesteś małoletnią...

— Cóż stąd! Matka moja przekazała to, do udzielania nam, w razie potrzeby.

— Tak!... udzielenia... lecz nie cały! mówił Skalski pomieszany.

Emilka mu spojrzała prosto w oczy — on opuścił powieki — nie było wątpliwości —fundusz sierocy nie był już w jego rękach—wydał go — na własny użytek, lub pożyczył komu? niewiadomo! lecz Emilka ujrzała się pozbawioną środków spełnienia swych życzeń.

— Muszę mieć 300 rub. na ten rok! — rzekła z rozpacznym akcentem.—Pamiętaj pan, że śmierć moja, byłaby pana grzechem! Zabiję się, jeśli mi nie pozwolisz jechać!

Z temi słowy, wyszła. Pobiegła do dawnej introligatorni. Jedna z panien, miejscowa, oprawiała pojedynczo książki. Emilka poprosiła ją o dozwolenie współudziału w pracy i odtąd zarabiała kilkadziesiąt kopiejek dziennie—rzemiosło okazało się wdzięczniejszym od ludzi! wypłacało czas mu ofiarowany, pomogło robotnicy utrzymać się, co prawda, prawie nędznie! Były dnie, w których Emilka nie miała za co kupić sobie obiadu. A przecież nie opuszczała jej moc duszy i śpiewając brała się do pracy.

---

szego ogółu, czyn podlegaćby winien krytycznemu sądowi opinii publicznej.—Bądź co bądź patrzećby na to było można przynajmniej z pewnym pobłażaniem... Lecz gdy podejmuje się spełnienia tego czysto prywatnego czynu Redakcyja Gazety, to już tym samym przybiera on zakrój poważniejszy. Dlatego też ośmielamy się zrobić uwagę, że popierwsze: drukowane choćby najpiękniejszych mów pogrzebowych, jako najmniej bezwątpienia interesujących utworów, jest pod każdym względem bezowocne;—a powtóre: że choćby nawet, nie bacząc na moralną bezowocność, przy szczególnie sprzyjających okolicznościach, można było z ich rozprzedaży jaki fundusz zebrać, to grosz ten w rękach Redakcyi na lepszy jakiś cel powinien być obrócony... Wiemy bo wszyscy, że choć ś. p. Szym. był człowielkim pełnym zalet, nie wyszedł nigdy poza granicę ciasnych pospolitego człowieka obowiązków: na pomnik więc, jaki stawiamy zwykle wielkim naszym ludziom nie zasługuje; a choćby nawet zasługiwał, ręczę, że wolałby raczej inny... niż kamienny pomnik—ręczę, że głosował by wraz z nami....

A teraz słówko o kieleckich idealistach i pozytywistach... Śród naszych bowiem grobow i lasów żyje pewna liczba ludzi, którzy w wolne od codziennych zajęć chwile, tych *niewinnych* nazw używają... Mówimy *niewinnych*, gdyż odpowiada im niewinna, cicha rzeczywistość, uwydatniona pod postacią kilku aksyjomatów i kilku praktycznych na życie poglądów, które tak rzadko i w tak bladej szacie ukazują się bożemu światu, iż nie ma obawy, aby kiedykolwiek stały się hasłem otwartego boju. W prawdzie, gdy przed dwoma miesiącami szerzono zatrważające wieści po miasteczku, jakoby zmartwychwstały sławetny organ tutejszy stawał się (horror!) kolonią pozytywistów warszawskich, chmurą zaszło nad kieleckim Palatynem niebo od cichego szemrania i przedwczesnego tryumfu rozdwojonych na chwilę umysłów... Dziś wszakże niebezpieczeństwo minęło; widma pozytywizmu już się nikt nie lęka,—a w Gazecie zarówno jak i w mieście błogosławiona równowaga panuje. Pozytywiści śród wieczornej ciszy, zwierzają sobie wzajemnie *na ucho* prywatne swe przekonania, a idealiści, w serafinicznym ducha nastroju, rozprawiają niekiedy głośniej o *wrodzonych idejach*, co ich nwalnia od określenia wielu niejasnych w słowniku naszym wyrazów i potężnie wpływa na rozwoj *poobiedniej drzemki*. Mógłbym wam, motywując te i tym podobne uwagi, bardzo wiele ciekawych a humorystycznych opowiedzieć szczegółów; szkoda mi jednak czasu i *strach mściwej opinii współobywateli*... Nie mogę wszelako przemilczeć pewnego arcyciekawego na pozytywizm poglądu, który cudownym jakimś sposobem bezpośrednio przed dwoma miesiącami wpadł w ucho waszego korespondenta. Otóż wiedzcie, iż gdy tutejsze archanielską miłością płonące serca zaniepokoiła myśl że odrodzona Gazeta kielecka zacznie do swych czytelników przemawiać *szałańskim* językiem młodej prasy, a różni ludzie rozmaicie tę wieść pojmowali, powiatowa (mianowicie *Suchedniowska*) *inteligencyja*, usłyszawszy widać po raz pierwszy miano spółczesnej filozofii, zapatrywała się na pozytywizm, jako na *sektę religijną* mianowicie taką, która swym bogom krwawe przynosi ofiary.

Dobijając do brzegu, chciałbym zebrać coprędzej w jednę wiązkę i przesłać wam wszystkie nie przesłane dotąd fakty z kilku ostatuich chwil kieleckiego żywota.

Od miesiąca już przeszło opuściło nas towarzystwo dramatyczne p. Krauzego, pozostawiając za sobą miłe wspomnienie skrzętnych starań reżyserskich, i zarówno *scenicznych* jak i *niescenicznych* zdolności...

Z ogółu trupy, w której skład weszły okazy wszystkich mniej więcej umysłowych i moralnych poziomów, staranną grą i niepospolitemi zdolnościami wyróżniali się: p. Królikowski (w charakterystycznych, poważnych ro-

Doktor przyniósł jej żądane 300 rub. Po skończeniu wakacyi, Emilija pojechała do niemieckiego miasta N...

Z niezachwianą odwagą, puściła się znów w świat sama jedna. Weselej teraz opuszczała Warszawę — cel wyprawy, zagrzewał jej umysł i umacniał serce.

Nie tracąc zapału — Emilja wyszukała sobie pokoik odnajęty, od pewnej starej niemki—mały, na trzecim piętrze, ale czysty, miły i tani. Zagospodarowawszy się zupełnie poszła wzruszona, na lekcyje— mnóstwo oczu śledziło ją ciekawie, co zrazu sprawiało jej wielką przykrość.

Wychodząc z prelekcyi -- usłyszała wymówione swoje nazwisko, obróciła się zdziwiona: Gabryel Serafiński podawał jej rękę.

— Spotkaliśmy się!—rzekł, Emilka spytała go o rodzinę.

— Zdrowi wszyscy! tęskniliśmy za panią!

— Doprawdy? i mnie było tęskno... ale ja nie pozwalam sobie czuć nic innego, nad chęć do nauki.

— Tak? i nic więcej?

— Nic! odparła sucho Emilka.

Weszli razem w bramę domu gdzie mieszkała.

— Czy pani tu ma kogo znajomego z lokatorów? spytał młody.

— Sama tu mieszkam!

— Doprawdy? pod którym numerem!

— Pod szóstym na trzecim piętrze.

— A ja na drugim. Jesteśmy sąsiadami przez sufit.

— Seraf! zawołał kolega z góry — chodźno Serafie!

— Dano mi przezwisko!— zaśmiał się Gabryjel.

— Zapewne z powodu pana jasnych, długich włosów i niebieskich oczu — rzekła Emilka.

— A więcej dla skrócenia nazwiska. Do widzenia!

— Dowidzenia — pożegnała go biegnąc po wschodach.

Dzień był gorący — pokoik nieco duszny. Emilija otworzyła okno, wychodzące na ogródek, i stanęła w nim chwilę. Niechcący posłyszała rozmowę sąsiadów z niższego piętra:

— Podobno przybyła polka? czy to z nią szedłeś Serafie?

— Tak.

— Już znajomość zawarta! ho! ho!

— Znam ją dawno, była u moich rodziców.

— I może z miłości za tobą przywędrowała czysty Serafie?

— Proszę cię, daj mnie i jej pokój.

— Jakto? razem?

— Janie! jeśli dłużej będziesz żartował, to się pogniewamy. To szlachetna i śmiała kobieta, rzeczywiście oddana pracy i nauce.

— Eh! będzie to dopóty trwało, póki się nie zabałamuci. One takie wszystkie...

— Ani się waż! krzyknął Seraf. Kolega się roześmiał,

— No! no! Serafie! langsam! — i odeszli od okna, a słowa ich nie dochodziły już tak wyraźnie. Emilka blada i drżąca, wsparła się o ścianę; w tej rozmowie ujrzała cały swój obraz męki, jak w ogrójcu: daremność walk, poniżenie, trudności — wszystko co ją czekało, co przejść postanowiła, jedynie dla tego aby zostać dobrym przykładem.

— Seraf ma słuszność, bez tego nie byłoby dzieła! więc zasługa nasza większa niżby się zdawało —zawołała do siebie— Nie! ja się nie lękam! i nie cofnę!

Była istotnie bardzo wytrwałą. Unikając towarzystwa i znajomości, pracowała pilnie i bez wytchnienia. Jedyną jej rozrywkę stanowił fortepijan, który sobie wynajęła i ozdobiła nim swój skromny pokoik. Zamknęła się w obrębie martwej nauki książkowej, zapragnęła mądrości nadludzkiej i zaparła się swojej kobiecej istoty.

— Nie zabałamucę się, nie będę taką jak wszystkie!—powtarzała często do siebie, z zaciętą i bolesną dumą.

Serafa witała zdaleka ukłonem. Potrafiła postawić się na tej stopie wyższości, że nikt nie miał do niej wstępu. Żyła samotnie jak pustelnica. Zrazu próbowano ją zaczepiać — odpowiadała wejrzeniem i milczącą pogardą. Odstraszyło to natrętów.

Długie, zimowe wieczory, mile schodziły dzielącym się na stowarzyszenia i kółka niezmiernie wesołe, pełne gwaru, zapału i młodzieńczego ducha. Z mieszkania Serafa, nieraz dochodziły Emiliją wybuchy śmiechu, pieśni i ożywionych rozpraw.

— Wszystko im dostępne! — mówiła do siebie.

Słusznie czyniła takie porównanie — samotnie przykuta na swej wyżynie, patrzyła smutnie na świat kobiecy tonący w pomroku, a sęp żalu i tęsknoty zadawał jej codzień gorsze męki.

Pewnego dnia spotkała na wschodach Serafa.—Dobry wieczór — rzekł — Doprawdy, jesteś pani wzorem anachoretów!

— Czy to się panu wydaje tak nienaturalnym? — odparła. Żyję dla nauki tylko... samotność pomaga studyjom.

— Ależ młodość! czy pozwala na takie pęta?

— Mnie się zdaje, żem stara jak świat! Żem od czasów Ewy przeżyła lat tysiące, była zawsze w katuszach, wzgardzie.

Nia mam innego celu, innego ukochania w świecie prócz nauki i pracy — nie dziw, że się jej oddaję!

— Ależ, gdyby wszystkie kobiety chciały panią naśladować...

— O nie! inna dola brulijonu, inna przedruków!

— Słyszałaś pani?... i zapamiętałaś? — zawołał Seraf z przestrachem.

— Tak! I przyznaję, że kolega pański ma trafny pogląd na rzeczy.

Zamilkli oboje przez chwilę. Emilija zaczęła pierwsza pytaniem:

— Dawno miałeś pan wieści od rodziny?

— Przed tygodniem—wypytują się o panią.

— Doprawdy? czyż o mnie pamięta jeszcze kto na świecie? — rzekła z mimowolną rzewnością Emilka.

Seraf spojrzał na nią serdecznie: Nikogo więc pani nie ma bliskiego między ludźmi?

— Nikogo! — powtórzyła z westchnieniem. Łzy zaświeciły w jej oczach, pożegnała Serafa i wróciła do siebie—aby nie dać spostrzedz gdy te ślady tłumionego bólu spłyną po licach. Seraf jednak, choć nie widział, odczuł te łzy sieroce i padły mu one na serce.

— Biedna dziewczyna! szkoda jej!—powiedział do siebie z westchnieniem.

Wigiliją Bożego Narodzenia, Emilka siedziała samotnie jak zwykle w swym pokoiku—książka i notatki leżały przed nią — lecz oczy błądziły w przestrzeń wpatrzone, głowa wsparła się ciężko o wychudłe ręce — znać pognębiona myśli ogromem. Ogarnęła ją chwila zwątpienia, apatyi — czuła próżnią w duszy i sercu—tęsknota, żal, gorycz i wzgarda, szarpały naprzemian jej wyobraźnią.

— Sama jestem!—zawołała nakoniec — tak sama! że mogę zerwać piersi łkaniem, a nikt nie posłyszy!... mogę rozbić głowę o mur! a nikt od rozpacznego kroku współczuciem nie

---

lach wyższej komedyi i dramatu), pani Szaszkiewicz (w rolach naiwnych), pani Krauze (w rolach lwic i dewotek). Słyszeliśmy że towarzystwo p, Krauzego, nie zrażone skąpym materyjalnym uznaniem, zamierza w lepszym komplecie, zawitać znów do nas na zimę. Radzilibyśmy mu jednak, aby uzupełniając siły swej trupy (w której zbywa np. zupełnie na śpiewaku i pierwszym kochanku), pozbył się oddziedziczonego po p. Dębskim pierwiastku i był staranniejszym w wyborze osób.

Bądź co bądź, Kielce, mimo że Talija je opuściła, są ciągle przybytkiem prawych i nieprawych muz. Niedawno dawał przedstawienie jakiś linochód, uczeń *mistera Blondyna*: potym odbył się koncert ociemniałego Plocera (wychowańca warsz. instytutu), a w krótce ma nam zaprodukować swój talen przebywający tu oddawna śpiewak p. Ignatowski.

Miasteczko nasze dziś jak i dawniej, zawsze *bardzo moralne* i bardzo spokojne. Szewcy, krawcy i inni rzemieślnicy prowadzą dalej swój kunszt przeważnie partacki, restauracyje, jak dawniej, trują obrzydliwemi zupami i sosami; wioskowy ludek boży, co wtorek i święto, zalega szerokim klinem ulice przed handlami win (sic! już to wyłączny przywilej Kielc) i szynkami, a nowe domy, bardzo często zapadają się same przez się. Przyczym nadmienić wypada, że w połowie maja w handlach korzeni wzmógł się był ruch na chwilę z powodu licznego zjazdu obywateli Towarzystwa kredytowego ziemskiego. *Symplicyjusz.*

* * *

Są rzeczy o których nigdy zawiele mówić ani pisać nie można, a do takich należy zbliżająca się wystawa rolnicza. W swoim czasie wykazywaliśmy ważność tego rodzaju przedsięwzięcia dla ogólnych spraw kraju;—dziś zaś niestety! wyrazić musimy obawę czy przedsięwzięcie to mimo całej swej doniosłości nie zrobi fiasco. —Termin już niedaleki, a ruch jakiś nieznaczny.— W prawdzie prasa na temat wystawy dosyć często coś powie,—wieści te jednak,—są jakby zapowiedziami że ekspozycyja się im nie powiedzie—że wystawców nader skromna stosunkowo zbiera się liczba. Wierzyćli temu?— Ha‥ wierzyć i... niewierzyć. Wiemy bowiem że ‚u nas interesy publiczne nie były nigdy i nie są jeszcze dzisiaj zbyt gorąco brane do serca; lecz wiemy niemniej i o tym że lekceważenie rzeczy takiej jak wystawa rolnicza w kraju przeważnie jeszcze rolniczym, byłoby więcej jak błędem, byłoby jaskrawym dowodem apatyi i... krótkowidztwa. Czy więc ziemianie nasi chcieliby sami błysnąć, (!?) i opiniją o kraju obdarzyć takim świetnym dowodem? Ha,. „czas roboczy, gospodarzom nie podobna wydalać się z domu,“ tak łagodzą niektórzy wiadomości o małym udziale ziemian w wystawie? Pytamy się jednak tych panów czy nadchodząca ekspozycyja nie jest chwilą *roboczą* i to chwilą której ważność dla rolników przemawia sama za sobą, — Podług nas dla niestawiających się na wystawę nie ma okoliczności łagodzących.

Dziś komunikacyją w wielu okolicach ułatwiają już drogi żelazne, ułatwiają tym samym i dostawę przedmiotów, —jak znow z drugiej strony rolnictwo nasze gwałtownie domaga się nowych ulepszeń i reform. Opuszczać więc chwilę tyle sposobną — to znaczy stawać się nieprzyjacielem własnego i ogólnego dobra, to znaczy działać na... niekorzyść kraju.— Czy więc ziemianie za konsekwecyje podobne zechcą przyjąć odpowiedzialność?., Czy każdy, któremu fizyczne niepodobieństwo na przeszkodzie nie staje, — a ktory jednak na wystawę się nie stawi, czy każdy powtarzany z *takich* wobec sądu własnego sumienia, i sądu opinii, pozostanie spokojnym?..,

* * *

Co znaczą te obłoki szare—unoszące się codziennie zrana, po nad naszą Warszawą? Czy gród nasz miałby się kąpać w mgle porannej? O nie...nie... to nic tak poetycznego, to Warszawę zamiatają *na sucho*.—Żart na stronę, ale

powstrzyma... mogę skonać! i nikt chwili skonu mego nie postrzeże. Ah! — mówiła boleśnie—na moim czole znać widać jakieś niezatarte piętno sieroctwa. Wmięszałam się w tłum, z dobrą wiarą i dobrą chęcią — nie chciałam zrazu wyróżnienia, pragnęłam przejść życie niepostrzeżona, pod cieniem szczęścia!... a tłum mię wytknął na hańbę palcami, jedni odsunęli się odemnie, inni przyczepili się, jak kruсy przy świeżym łupie. Otrząsnęłam się z letargu chwilowego, poszłam dalej — i otom sama, zniżona, smutna!... Nie mogę przestać być *sobą* a moje *ja* tak różne od innych jednostek, że chyba całe życie tylko mi z duchowym światem obcować trzeba... a przecież mnie tęskno... jam młoda... d. c. n.

UWAGI OGÓLNE

O WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU DZIEWCZĄT.

PRZEZ

Jadwigę Ochorowicz.

CZĘŚĆ II. [1]).

Szkoły przychodnich i wpływ rodzicielski.

I.

Poprzednio już mówiliśmy o zakładach zamkniętych; obecnie zaś powracając do głównej myśli naszej, przyjrzyjmy się jeszcze bliżej wychowaniu w połowie domowemu.

— Oto bogobojni, uczciwi i nie ubodzy nawet rodzice. Mają więc napozór wszelkie prawo, oddania swej jedynaczki do wyższego naukowego zakładu. Dzieweczka jest żywa—samowolna, rodzice ję kochają zapamiętale—i wszystko tylko dobre w niej upatrują, a lubo sami nie mają pretensyi do uczoności, uznają wszakże potrzebę postępu— i chcą mieć córkę uczoną. A panienka bierze się, jak to mówią, do rzeczy. Bardzo zaszczytnie przechodzi klasy w szkole dla przychodnich, —i uzyskawszy chlubny patent, wraca jako panna do domu rodziców.

([1] Część I-a o szkołach zamkniętych drukowaną była w r. z. w oddzielnym dodatku.

Wychowanka nasza wie dobrze, iż pod względem umysłowym, daleko wyżej stoi od rodziców; oni zaś nie przeczą, ani się nawet z tym nie tają.—W córce tymczasem wyrabia się porządna doza zarozumiałości. Obok książkowej nauki, jest ona wprawdzie i praktyczną; bo matka zawołaną była dotąd gospodynią; lecz teraz już i pod tym względem ustępuje córce, która też korzysta ze sposobności: rządzi absolutnie w domu, poprawia, zmienia dawne zwyczaje. Rodzice zaś schylają czoło—chwalą lub potakują, a choć czasem coś bardzo i źle trafia do ich przekonania, to nie śmią się odezwać. Córka się też wcale o ich zdanie nie troszczy... „boć przecież ona ma więcej od nich rozumu." Przyjmuje więc od nich to ustępstwo, jako rzecz sobie przynależną, nie przypuszcza bynajmniej tej myśli: że i od niej rodzicom się cośkolwiek należy... Rozum zaś napełniony różnorodnemi wiadomościami—pomija te tak pospolite zasady: „Czcij ojca i matkę twoję—przed siwą głową powstań."

I oto—ludzie ze wszech miar godni poszanowania,—przez własne dziecko lekceważeni, i na stare lata obcy prawie we własnym domu za to: że dla dobra postępu, wpuściwszy swe dziecko do świątyni wiedzy zbytecznie zaufali światłu, które ich prostaczków olśniło. Napełniali rozum—nie dotykając serca—nie rozwinąwszy myśli na drodze właściwej, nie wpoiwszy uszanowania i powagi jaka wiekowi wogóle—a rodzicom wszczególności przynależy.

Bez czego niedojrzała nauka, jedynie zarozumiałość wywoła. Ale nie uprzedzajmy następstw, pójdźmy raczej za biegiem czasu i pozwólmy po skutkach poznać przyczynę.

Idą lata— przychodzi czas wyjścia za mąż. Z pomiędzy kilku starających się o względy, panna wybiera sobie urzędnika. Jesto zdolny, zacny— nawet dość zamożny młody człowiek, tylko biedak słabowity. Wskazano mu jedynaczkę ukształconą i praktycznie wychowaną—powierzchowność jej miłe zrobiła na nim wrażenie, cze góż więcej potrzeba? A więc łączy się młoda para. Żona odrazu—i tu jest wszystkiem... Urządza dom, pielęgnuje męża chowa dzieci, których coraz przybywa. Słowem żona jest wszechwładną panią, matka tu wszystko znaczy—ojca o nic nawet nie pytają; a choć się czasem z czym odezwie, to cały dom powołuje się na rozkaz lub decyzyją matki. Dzieci tymczasem rosną. Przychodzi czas nauki. Synowie idą do szkół publicznych, córka na pensyją. Lecz wszędzie źle!... Nauczyciele nie umieją ocenić wysokich zdolności synów—pensyja znów zalet córki. Matka się gniewa, narzeka, oburza na cały skład naukowy. Dzieci to słyszą, i naturalnie, bardzo chętnie składają winę na wszystkich i wszystko, byle nie na siebie.— Ojciec chciałby się wdać i rozsądnie rzeczy rozpatrzyć;— ale on słaby, niedołężny, myślał o sobie... I oto powód do zamięszania i niesnasek domowych; dzieci zaś patrzą, słuchają i przejmują się tym, co ich otacza. A my się żalimy: że młodzież niesforna, nieposłuszna i zarozumiała; że nikogo za nic niema, starszych nie szanuje i lekceważy ich przestrogi. Niekiedy matka mimo całej zarozumiałości spostrzega się, widzi, że dzieci z jej winy zadaleko w złem zaszły; bo już i jej za nic nie mają, zaczyna się więc unosić—strofuje, łaje, upomina, karze nawet surowo; —ale niestety! pozbawiwszy je wpierw szacunku dla starszych, teraz nietrafnie bierze się do rzeczy, budzi upór, zuchwałość, a co najgorsza, odbiera im nieraz ambicyją. Oto do czego prowadzi zarozumiałość... przez nią najświętsze nieraz uczucia sponiewierane. Ona budzi wstyd fałszywy, który nam nie pozwala przyznać się do winy, i zapobiedz rozsądnie złemu, choć je nawet dość wcześnie spostrzegamy. Cóż więc poradzi sama szkoła? jeżeli rodzice nie mają tej wyższości moralnej ktora im zawsze i wszędzie właściwe zapewnia miejsce; i którą szanować trzeba, która przechodząc niejako z rodziców na dzieci, stanowi najdroższą po nich spuściznę!

II.

Ale idźmy dalej... Oto ojciec rodziny. Niedawno stracił on żonę. Zajęty biurowemi obowiązkami, nie może oddać się dzieciom, musi spuszczać na sługach i najemnicach. Widzi on jak zwolna wkrada się nieład i nierząd. Dawniej tego niebyło—rozsądna żona i matka umiała sobie radzić we wszystkiem.— Trzebaż to i teraz jakoś ukrócić. Cóż robić?... Dla dobra dzieci, trzeba się ożenić!., Poznał właśnie panienkę ubogą która dotąd utrzymywała się z robót, a przez samą jej wdzięczność za los, jaki ją spotka, będzie z pewnością dobrą opiekunką dla przybranych dzieci.

Lecz spytajmy kto ją chował? kto natchnął serce przekonaniem: że obowiązki, jakich się w podobnym razie podejmuje kobieta, są waż-

---

przeciw sławnemu kurzowi Warszawy czasby już było wytworzyć antydotum skuteczne. Wprawdzie panie *ogoniaste*, mimo tysiącznych skarg, prób, i gróźb nie przestają produkować zapamiętale miłego pyłku; lecz czyby szanownych ich *pomocników*: panów stróżów warszawskich nie można było zniewolić do uwzględnienia nieszczęśliwych płuc naszych,— to jest do zamiatania ulic nie inaczej jak po polaniu wodą, i załatwiania tej czynności nie później jak o godzinie 5-ej np. z rana. Rzecz tę podnosił już niedawno Kuryjer Codz.—rozpisując się o niej obszernie i rozpisując się słusznie. Kwestyja zamiatania (zarówno trenami jak i miotłami) ulic, wiąże się ściśle z kwestyją *zdrowia publicznego* wartoby więc w tym względzie coś stanowczego przedsięwziąć.

* * *

Trupa aktorów francuskich ma podobno wkrótce już rozpocząć swoje francuskie przedstawienia w Dolinie Szwajcarskiej.— Niestety! jednak!... płacz i żałuj wymokła młodzieży warszawska, —kankana nie będzie— chociaż niektórzy utrzymują że kankan będzie.—Bądź co bądź notując tę wiadomość mamy głównie na celu prośbę do rodziców i wogóle opiekunów młodej gieneracyi. Otóż tedy szanowni wychowawcy przyszłych pokoleń!—jeżeli chcecie by pokolenia te nie budziły kiedyś smutnych o was wspomnień, niepuszczajcie młodych podrostków, na wszelkie kankanowe czy bezkankanowe farsy francuskie! Prośbę tę naszę powtarzamy tym usilniej, — widząc jak zapamiętale młodzież gimnazyjalna proteguje Offenbacha w ogródkach. Zwracaliśmy już na to uwagę i zwracać jej nie przestaniemy, dopóki w rodzicach i przewodnikach tych młodych amatorów kankana, nie obudzi się sumienie.

* * *

Jednym z ważniejszych czynników w zakresie wychowania jest gimnastyka. W ciele zdrowym, umysł zdrowy. Wiadomości o rozwijaniu się onej i postępie, w braku stosowniejszego środka (np. towarzystwa gimnastycznego) zbierane chociaby w małym zakresie, przyczyniać się mogą skutecznie do rozszerzania się jej coraz większego. Dlatego podajemy szczegóły poczerpnięte od wychowawcy gimnastycznego p. Wyrzykowskiego, o dalszym ciągu jego zajęć. W ćwierćroczu 2-m (1-m r. 1874) w poprzednim mieszkaniu (obecnie jest obszerniejsze z ogrodem, Leszno, 53), odbył godzin gimnastyki jak następuje: 1) *U niego w mieszkaniu* — a. gimnastyki zdrowia — płci żeńskiej: osób 5, od 7 do 15 reku życia, wszystkie z nauki domowej, po 2,3 i 4 razy tygodniowo, razem 40 godzin; płci męskiej osób 8, od 6 do 28 roku życia, z nauki domowej, po 2, i 3 razy tygodniowo, razem 64 godziny;—łącznie osób 13 w 104 godzinach. b. *leczniczej* płci żeńskiej osoba 1 (używająca także gimnastyki zdrowia), w 10 roku życia, z nauki domowej 2 razy tygodniowo, 8 godzin; płci męskiej osoba 1, w 10 roku życia, z nauki domowej, 3 razy tygodniowo, 22 godziny;— łącznie 2 osoby w 30 godzinach. Wogóle w jego mieszkaniu osób 14 w 134 godzinach. 2) *Na mieście—a.* Gimnastyki zdrowia, płci męskiej w progimnazyium prywatnym o 7 oddziałach, około 440 osób, 2y razy tygodniowo, w przecięciu około 63 osoby na godzinę, przybliżenie w najlepszym razie co 25 dni, razem 17 godzin; *b.* leczniczej— osoba 1, w 7 roku życia, codziennie, 72 godziny. Łącznie na mieście płci męskiej — w progimnazyjum około 440 osób i oddzielnie 1 osoba, w 89 godzinach.— Ogółem z gimnastyki korzystało osób 15 i w progimnazyjum około 440, w 223 godzinach. *W porównaniu* z ćwierćroczem poprzedniem o 1 osobę więcej, w progimnazyjum około 50 mniej, w godzinach 61 więcej.

ne, wielkie i święte;—ale zarazem nie łatwe!.. Że trzeba wpierw obliczyć się dobrze z siłami, zanim przystąpimy do dzieła.

Lecz otóż i młoda żona wstępuje w progi domu poważnego człowieka.—Jako młoda potrzebuje rozrywki. Wszak niczego nieużyła jeszcze.. Mąż więc radby jej dać poznać trochę świata,— użyć nieco przyjemności; by ją ująć że tak powiem, zanim zbyt trudnemi obarczy obowiązkami. Szuka więc sposobności ku temu—bawiąc się. Czas mile zchodzi; bo przy młodej żonie, i mąż jakoś odmłodniał. Sługi tymczasem gospodarują, jak dawniej, — nie ubyło ich wcale; boć przecież teraz nawet więcej ich usług potrzeba.. O dzieci wszakże—nikt bardziej niż dawniej się nie troszczy.. Zawsze jednak, są rodzice, jest pani domu — toć przecież lepiej, niż kiedy same sługi rządziły?.

Tak sądziłby wypadało: lecz przypatrzmy się bliżej. Młodej żonie przybywa cel życia. Mając własne dziecię, trudnoż przecie tak bardzo zajmować się przybranemi. — A już dziewczynki potrzebują i nauki; — najlepiej oddać je do szkoły. Większa część dnia będzie spokojną domu—a one pod bezpieczną opieką szkoły. Potym muszą się uczyć lekcyj zadanych.—Do tego mają swój pokoik, nikt im przeszkadzać nie będzie. Toć przecie dosyć, więcej trudno się poświęcać. Wreszcie kłopotu i tak nie brak, wydatki rosną z dniem każdym. A otworzywszy dom, trzeba go utrzymać przyzwoicie. Młoda pani potrzebuje się też ubrać, i gości przyjąć,—a jakoś fundusze na to niewystarczają... Trzeba więc brać na kredyt. Suknie parę razy używane sprzedają się handlarce, by dołożywszy, sprawić inne; bo i jakże nie stosować się do mody?

Dobry przykład oddziaływa,.. Dziewczynki także chętnie zamieniają z przyjaciółkami, to książki, to kajety, scyzoryki, obsadki i t. p. za ciasteczka, owoce—a nawet za pieniądze... Przed rodzicami łatwo się wytłomaczyć: że kajet zginął gdzieś w domu — książka znów w szkole i t. d. Muszą kupić inne, bo jakże się inaczej uczyć? Tymczasem chęć do łakoci i różnych błyskotek wzrasta w naszych panienkach. O wykręty coraz łatwiej; — już sobie znalazły i wspólniczkę w służącej, która im dopomaga do spieniężania rzeczy niekoniecznie potrzebnych, a w domu tyle jest osób, że trudno porządku utrzymać:— niepodobna pomiarkować co jest a czego brak. Bo nie łatwo zaprowadzić ład, o którym nie mamy wyobrażenia.

Dalej, już i w szkole zaczynają ginąć różne drobiazgi; ale nikt dojść nie może, jakim sposobem—kto może być sprawcą; takto jakoś zręcznie i gładko idzie... Aż wreszcie po długich a wytrwałych poszukiwaniach—po nitce, jakto mówią, dochodzą i do kłębka...

Oto—co dało domowe wychowanie. Co tu może zrobić szkoła? (d. c. n.)

Z ŻYCIA POETÓW.

II.

ADAM MICKIEWICZ.

(Życie salonowe).

przez

Dra **Piotra Chmielowskiego.**

Pierwszy raz jam niewolnik z mojej rad niewoli,
Patrzę na ciebie, z czoła nie znika pogoda;
Myślę o tobie, z myśli nie znika swoboda;
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.
Sonet XIII.

(Ciąg dalszy).

Dla ludzi zwykłych wypadek powyższy byłby zapewne drobnostką, która w ich pamięci przeżyłaby może dzień albo tydzień jeden; ale dla człowieka skłonnego do marzeń, uczuciowego i wrażliwego, jakim był Mickiewicz przez całe życie a zwłaszcza w tej epoce, stał się on jednym ze stopni w duchowym udoskonaleniu. Nie mamy obecnie zamiaru rozbierać a zwłaszcza tłomaczyć tego faktu szczegółowo, porównywając go z innemi podobnemi, gdyż to wymagałoby osobnego studyjum; lecz niepodobna nie zauważyć, że w rozwoju uczucia dla Henryjety niepospolitą odgrywać musiał on rolę.

Jakoż w trzy dni potym zdarzyło się co następuje: Dzień 2 lutego 1831 r. był ważnym i z tego jeszcze powodu, że w nim ogłoszono wybór nowego papieża, Grzegorza XVI. W trzy dni po obiorze papież wedle zwyczaju zasiadł na ołtarzu w bazylice ś. Piotra, na grobie apostoła i udzielał błogosławieństwa, obracając się ku czterem stronom świata. Na tej uroczystości był też Adam wraz z rodziną A. Znajdowali się na wschodkach pod kopułą, przy figurze ś. Longina. W chwili gdy papież błogosławiąc obecnych obrócił się ku temu miejscu, Mickiewicz, który stał poniżej, wpadł żywo na wschodki, pochwycił rękę Ewuni i trzymał ją, dopóki ojciec święty nie odwrócił się w inną stronę. Poczym szepnął do niej półgłosem: —Najwyższy pasterz kościoła razem nas pobłogosławił; patrzył się na nas a więc połączeni jesteśmy.

Henryjeta przeraziła się mocno. Odtąd uważała się jakby duchowo zaręczona z Adamem [1]).

Duchowe te atoli zaręczyny nie przemieniły się na trwalszy związek. Trudno dziś napewno powiedzieć, jakie były właściwie przeszkody do urzeczywistnienia najgorętszych życzeń obu stron. Można by twierdzić, że hrabiowska duma pana A. nie pozwalała na oddanie ręki córki literatowi a w dodatku poecie. Tak przynajmniej kazałaby wnosić powyżej opowiedziana niechęć hrabiego względem Adama, któremu czasami nawet ręki nie podawał, podczas gdy z innemi serdecznie się witał; a dalej dwukrotne kategoryczne oświadczenie, że związku tego bynajmniej sobie nie życzy.

W parę lat jednak po wyjeździe poety z wiecznego grodu, hrabia spotkawszy się w Dreźnie z p. Odyńcem mówił mu, że gdyby on (t. j. p. Odyniec) był wówczas w Rzymie, wszystko dałoby się ułatwić, dodając, że każdy ojciec ma przecież prawo, żeby mu się o córkę *kłaniano*. Do żony też i córki mawiał podobno: „Czemużeście mi o tym nie mówiły, było zemną szczerze wychodzić“ [1]). Zapewnia nas Ewunia i Henryka przez usta korespondentki, że słowa te były szczere, gdyż charakter hrabiego miał być samą prawością i prawdą. Ale jakże słowa te pogodzić z wyrzeczeniem, które nam taż sama Ewunia podaje, że hrabia wolałby widzieć córkę na marach aniżeli żoną Mickiewicza! Te dwa przeciwne poglądy na jeden i ten sam stosunek zbyt kontrastują ze sobą, ażeby być mogły oba razem równie szczeremi i prawdziwemi. Nie mając jednak innych danych i nie chcąc pamięci hrabiego obarczać zarzutem obłudy, wolimy sąd nasz w tej mierze zupełnie zawiesić....

Z drugiej strony powiadają, że i Mickiewicz był w tym razie „niepotrzebnie dumny, że „względniejsze i większe postępowanie“ z jego strony mogło było inaczej losem jego pokierować. I tu przecież nasunąć się nam może pewna wątpliwość. Nie wiemy wprawdzie, czy Mickiewicz podczas drugiej zimy w Rzymie spędzonej, chciał zerwać z domem hrabstwa A. i czy go kto od tego kroku odwodził (jak poprzednio p. Odyniec); tyle jednakże wiemy, że tam pozostał bardzo długo, bo aż do 20 kwietnia 1831, ciągle wstrzymywany jakiemiś przeszkodami, których natury nie znamy; że zostawał tam dopóty, dopóki się wszyscy niemal rodacy z miasta ś. Piotra nie wynieśli.

W każdym jednak razie ten czas spędzony w Rzymie w r. 1831 nie był dla Mickiewicza tym, czym był r. 1830. Poprzednią jego swobodę skrępowała myśl poważna o spółczesnych mu wypadkach; które się rozgrywały na szerokiej widowni i marzeniom jego indywidualnego serca nakładały, że tak powiem, cugle. Dawniejsza jego wesołość, w harmonii ducha źródło swe mająca, przemieniła się obecnie na nieokreślone a smutne przeczucia, które mu nic dobrego na przyszłość nie wróżyły. Sam Mickiewicz wyznaje, że zima ta 1831 r. przeszła mu daleko smutniej aniżeli pierwsza, dodając, iż „od trzydziestu lat się przekonywa, *że tylko się na biedę urodził*“ [1]). Wyznanie to z ust naszego poety, nie lubiącego się wywnętrzać, jest nader wyraźnym świadectwem bolesnych uczuć, jakie wówczas w duszy jego gościły.

Muzea i wszystkie starożytności rzymskie, wśród których Henryka była mu tak miłym *ciceronem*, straciły teraz wszelki urok. „Mokry arkusz brudnej niemieckiej gazety, więcej, jak powiada, zachwycał go wówczas, aniżeli wszyscy Vinci i Rafaele“ [2]). Rozmowy o kwiatach, snach i proroctwach nie mogły mieć teraz miejsca, bo znalazł się ważniejszy przedmiot do rozpraw, którym Mickiewicz, (ani wątpić można) całą duszą się zajmował.

Powoli rodacy bawiący wówczas w odwiecznym grodzie, zaczęli się rozjeżdżać do stron rodzinnych. Zostało tylko szczupłe grono z dawniejszej „rzeczypospolitej mercedeńskiej.“ Mickiewicz uczuł także potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem stron bliższych serca. Czy to straciwszy wszelką nadzieję porozumienia się z hrabią Ankwiczem, czy też nie chcąc go już dłużej obecnością swoją zmuszać niejako do niegrzeczności, postanowił wyjechać z Rzymu. Wiliją wyjazdu spędził w domu hrabstwa. Miał ze sobą poezyje Byrona. Wśród rozmowy, przyszła kolej i na domysły co do przyszłości. Mickiewicz miał zwyczaj wróżenia jej albo z Biblii otwieranej trafem albo też z innej jakiej książki, którą lubił lub szanował. I teraz wziąwszy Byrona do ręki, rzekł:

— Niech mi on wywróży przyszłość; zobaczymy, co powie.

Otworzył książkę i znalazł następujące słowa:

— I utracisz je obie.

Byłto frazes z dramatu Byrona *Sardanapal*. Mickiewicz umilkł, Henryka zadrżała jak listek. Poeta podarował tę księgę proroczą na pamiątkę hrabiance.

Odchodząc, uścisnął jej rękę i szepnął:

— Niech cię Bóg błogosławi.

Nazajutrz 20 kwietnia 1831 r. Mickiewicz odjechał.

Uczuć, jakie serca obojga wówczas napełniały, opisywać nie będziemy. Kto ich nie doznał w życiu, na nic mu opis choćby najszczegółowszy się nie zda... Henryka poszedłszy do swego pokoju, otworzyła Byrona. Był w nim dużo ustępów popodkreślanych, najmocniej zaś podznaczony był wiersz p. n. „Bądź zdrowa,“ który tu przytaczamy w pięknym przekładzie pani Duchińskiej:

„Jeśli ku niebu w rozstania godzinie
Leci modlitwa za drugich zasłana;
Ach, moja pewno w powietrzu nie zginie;
Lecz imię twoje zaniesie do Pana!

[1]) Biblijot. Warsz. 1871, II. 308 i 309.

[1]) Trzeba w każdym razie pamiętać, że słowa te mówił hrabia po wyjściu P. *Tadeusza*, w którym Mickiewicz przedstawił swój stosunek do domu hrabstwa A. w postaci Jacka Soplicy, kochającego Horeszkównę Ewę. Hrabiego ubódł obraz starego Horeszki stolnika.

[1]) Korespondencyja, I. str. 50. (list do Stattlera).

[2]) Tamże.

Po co mi płakać i wzdychać mi poco?
Nad łzy, nad skargi, ja krwawsze znam [słowa,
Szaloną bólu wydobyte mocą
Z tajników duszy: bądź zdrowa! bądź [zdrowa!

Me usta nieme i suche me oko;
Lecz boleść w mózgu ład myśli roztrąca,
Zgryzota w sercu utkwiła głęboko
I sen mi z powiek zgania myśl trująca.

Choć żal mną miota i rozpacz wre we [mnie,
Z ust próżnej skargi nie wybiegną słowa
Ach, to wiem tylko, żem *kochał darem-* [*nie*
I tylko szepcę: bądź zdrowa! bądź zdro- [wa!

Odtąd nigdy się już ze sobą nie widzieli. Historyja ich uczuć na tym zakończyć się musi. Nie zapomnieli jednak o sobie. Poeta lubił się wypytywać o szczegóły pożycia i szczęście hrabianki, Henryjeta zaś kochała się w pamiątkach, które jej chwile serdecznego rozbudzenia się w życiu przypominały. Gromadziła wydania poezyj Mickiewicza i często je odczytywała. Mickiewicz, jak wiadomo, ożenił się w roku 1834 t.-j. w trzy lata po rozstaniu się z Henryką; Henryka zaś dwukrotnie wychodziła za mąż; ale szczęścia nie doznawała. Pogrzebała ojca, matkę, obu mężów a wreszcie i jedynego syna.

Dla tego syna odesłał jej Mickiewicz pierścionek, który kiedyś dostał był od hrabiny i prosił Henrykę, ażeby go dała „synowi swemu, gdy dorośnie.“ d. n.

Z WYCIECZKI W GARWOLIŃSKIE.

(Dalszy ciąg).

W ogólności lud tutejszy wiejski pod względem potrzeb i wymagań życiowych niewiele posunął się naprzód i w porównaniu z innemi okolicami jak np. krakowskim, sandomierskim, kujawskim stoi o wiele niżej. (Sześć, dziesięć do pietnastu morgów żytniego gruntu stanowi jedyny środek utrzymania drobnego posiadacza, włościanina). Za to w wioskach za możniejszych widzimy pomiędzy mieszkańcami dążność do zajęć handlowych. Tak np. we wsi Leszczyny miejscowi włościanie, wyręczając dotychczasowych wędrownych spekulantów zbożowych, sami skupują od okolicznych sąsiadów zboże prowadząc handel na własną rękę. Zwrotto niezaprzeczenie dobry i życzyćby należało by sięgnął on jak najdalej chroniąc drobnych producentów od wyzyskiwania małomiejskich pijawek. W niektórych miejscowościach włościanie łącząc pojedyncze kapitaliki zakupują majątki od posiadaczy poprzednich (większych Paprotnia Pilczyn). Natomiast dążność do oświaty, między ludem tutejszym zbyt słabo rozwinięta. Umiejących czytać znajdujemy wyjątki: dzieci uczy się stosunkowo nader ograniczona liczba co w części zawdzięczyć trzeba częstokroć 8 i 10 wiorstowej odległości szkółek. Nikt tu zresztą na *tym* polunie działa. Dla szlachty oświata ludu jest rzeczą obojętną (!) dla księży również. Przechodzimy do posiadaczy większych i na wstępie dowiadujemy się że majątki w garwolińskiem zaliczają się do wyjątkowych.

Zewsząd narzekania na biedę i „ciężkie czasy“ wszędzie apatyja i zniechęcenie. Posiadłości przelatują z rąk do rąk po parę razy do roku, lasy się sprzedają i niszczą „na potęgę,“ tu i owdzie obszerne łany ziemi leżą odłogiem, gospodarstwo rolne w zacofaniu, uprawa nędzna, procent wyciągnięty z ziemi nie pokrywa kosztów administracyi i najmu, a długi rosną, przedstawiając w perspektywie wydziedziczanie stopniowe. Dlaczegoż pytamy, nie bierzecie się panowie *za ręce*, jak to robią już w innych powiatach i okolicach, nie uorganizujecie spółek, dlaczego na wzór istniejących już w niektórych powiatach nie otworzycie własnej wkładowo-pożyczkowej kassy? Ba... odpowiadają nam zagadnięci, wam panom reformatorom najłatwiej w literackich gabinecikach kreślić idealne projekty. Wy możecie, nawoływać, stawiać przeróżne teoryjki a nam praktyka odpowiada: źle jest ani słowa, źle bardzo, ale... *niema rady*. Tak więc, dawniej „jakoś to będzie“ a dziś „niema rady“ stanowi apodaktyczną odpowiedź.

Naprożno szukamy w tej bezwładnie lamentującej sferze, jakiegoś umysłowego ruchu, jakiejś szerszej i ogólniejszej myśli, jakiejś inicyjatywy zaradczej, jakiegoś ducha postępu i zamiłowania nauki, bo temu wszystkiemu wzbrania absolutnie przystępu, bezsilna troska, codzienna bieda i apatyczna niemoc. Apatyja zasłania wzrok na przyszłość własną, na przyszłość i kierunek interesów społecznych, co więcej (!) i na przyszłość młodego pokolenia. Wielu z tutejszych obywateli ziemian, oddaje wprawdzie synów do szkół, lecz synkowie wyemigrowawszy z 4 lub 5 klassy wiszą następnie czas jakiś przy ojcowskiej gospodarce a... później? Eh... o „później,“ nie mówmy. A panie miejskie? Czy odczuwają nowy ruch na polu pracy kobiecej i czy w ruchu tym przyjmują odpowiedni udział, czy słowem zrzekając się dotychczasowej roli: salonowych lalek, poczynają pojmować zadanie *kobiet-obywatelek*? O niebardzo... niebardzo. Panie wiejskie w garwolińskiem, nie spieszą się bynajmniej w tym „nowatorskim“ kierunku. Dla większości Bluszcze Bazary i Tygodniki Romansów oraz plotki sąsiedzkie stanowią jeszcze alfę i omegę umysłowych i towarzyskich potrzeb, a suknie ogoniaste, paryskie kapelusiki i paryskie okrycie cel dążeń i pragnień (!)

Czy obrazek powyższy możnaby zastosować do ogółu? Broń Boże! I w obywatelstwie garwolińskim są rysy dodatnie, są wprost przeciwni ludzie, wprost przeciwne widzenia rzeczy i tym samym np. dobra Maciejowickie, Pawłowica, własność p. Trylskiego (wysoko rozwinięta hodowla owiec), Jagodne, Górzno i Wilga, wprost przeciwne t. j. postępowe urządzenie gospodarstw. Kontrasty te jednak są bardzo niestety rzadkie, są to wyjątkowe... wyjątki.

A propos wyjątków nasuwa nam się w tej chwili jeden o którym okoliczni sąsiedzi wiele i różnie mówią. Wyjątkiem tym jest o mil parę od Garwolina odległa *„Stara Wieś“*, majątek p. Józefa Zamojskiego. Jest to w rzeczy samej gospodarstwo wzorowe posunięte do wysokiego stopnia kultury i prowadzone *zbytkownie*. Zbytek ten atoli nietylko że okolicznych ziemian nie popycha na drogę naśladownictwa, lecz przeciwnie odstrasza ich i względem postępu zobojętnia. Jedni patrzą z lekceważeniem na przeszczepiony tu w wielu razach system gospodorowania zagraniczny („angielski“), inni zaś twierdzą, że gdyby właściciel Starej Wsi zamiast *bicia np. rowów w nocy przy sztucznym świetle* (!) zamiast zbytkownych a za eleganckich budynków i t. p., zaprowadził np. *stacyją doświadczalną*, wtedy zarówno sobie jak i całemu okolicznemu rolnictwu oddałby mógł rzeczywiste i szeroko sięgające usługi. Lecz trudno... wolnoć tomku w swym domku.“

Dopytujemy się o stan gorzelni, browarów, młynów, cukrowni i t. p. zakładów przemysłowych. I w tym kierunku garwolińskie względnie do innych okolic kraju wiele pozostawia do życzenia. Przemysł zwłaszcza związany bezpośrednio z rolnictwem zbyt słabo rozwinięty. O to suma całego na tym polu działania: 2 młyny parowe (w osadzie Czechy i wsi Chotyni), gorzelni 6 (z których parę ma być zamkniętych). 1 browar piwa bawarskiego w Górznie, 1 garbarnia w Żelechowie i fabryka szkła w osadzie Czechy. W ogólności przedsiebierczość w sferze przemysłu nie wychodzi po za granicę prób nieudolnych. *Ktoś* np. sprzedaje wieś, buduje młyn parowy i oddaje go w ręce żydów lub niemców. Przysłowie o naszej niezaradności występuje tu w całej swej okazałości i ujemnej sile. d. n.

DOROCZNE EGZAMINA I POPIS

w Warszawskim Instytucie GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH.

(Dokończenie).

III.

Wprawa w użycie przypadkowania i czasowania (fleksyja wyrazów) wiele czasu wymaga, dlatego kurs klasy trzeciej, w której te rzeczy się wykładają rozdzielono na dwa lata. Użycie przyimków jest objęte kursem klasy IV-ej—spójników V-ej;—ogólne zaś powtórzenie kursu, rozbiór logiczny, wprawa w czytanie i rozumienie odpowiednich pojęciom głuchoniemego książek jest zadaniem ostatniej klasy. Samo się przez się rozumie, że wykład nie opiera się tutaj na żadnym mechanizmie, ani rutynizmie, ale prowadzi się metodą poglądową na okazach, modelach, i rysunkach, których wiele znachodzimy po salach Instytutu, a założenie muzeum pedagogicznego (o czym już wspominaliśmy) skuteczną pomoc przy wykładach przynosić będzie.

Ramy zamierzonego artykułu nie dozwalają nam rozpisywać się szerzej nad metodyczną stroną wykładów, tak ważną i ciekawą dla każdego. Egzamin zresztą nie może o metodach dać dokładnego pojęcia; — zostawiamy więc rzecz tę na kiedy indziej. Dodać tylko musimy, że głuchoniemi dochodzą do pewnej biegłości w rachunkach, znają dokładnie miary i wagi, posiadają ważniejsze wiadomości z gieografii, z nauk przyrodzonych, z fizyki, z hygijeny,— mają także kursik w najwyższej klasie p. t. o obowiązkach społecznych.— Na egzaminach dawniejszych zauważyliśmy, że niektórzy uczniowie wypowiadali zdania tylko w pewnym stałym porządku wyrazów, co znaczy, że pamiętali wyrazy, myśli mogąc nie pojmować; — w roku bieżącym wypada nam zaznaczyć postęp w tym względzie,—więcej tu znać samodzielne wyrażanie się ucznia, niż gładkie a mimo to bezmyślne może czasem powtarzanie frazesów. Niepodobna wyobrazić sobie jak trudno głuchoniemego doprowadzić choćby do najskromniejszego posługiwania się językiem, językiem polskim który tak jest bogaty w wyrazach, tak swobodny w szyku. Język niemiecki mniej przedstawia trudności w tym względzie, a jednak w sławnym owym zakładzie Deutscha zauważyliśmy brak samodzielności w wyrażaniu się uczniów. Głuchoniemy żadnego pytania nie zrozumiał.—dopiero po powtórzeniu go, po przestawieniu wyrazów w porządek znany mu dobrze, pojął o co chodzi. Rozprawiają u nas wiele o nauce poglądowej jako o jakimś nowym wynalazku, tymczasem jest to rzecz, która (od Orbis pictus Komeńskiego począwszy) w Niemczech ma już swoję Historyją i Literaturę i która przez instytuty głuchoniemych za jedyną możebną metodę przyjętą została. Pragnący więc poznać tę metodę w praktyce, zobaczą ją od lat tyluwcałej rozciągłości stosowaną w Warszawskim instytucie, który możnaby za metodyczną szkołę nauczycieli pod pewnym względem uważać.

Nie mogliśmy tylko zdać sobie sprawy z nauki języka w klasie piątej, w której formują się zdania przy użyciu odpowiednich spójników. Co tu punkt wyjścia ma stanowić?— Czy dokładna znajomość przez nauczyciela tej części Filozofii, która o formach myśli traktuje, czy dokładna znajomość składni, czy spryt tylko a praktyczne wyćwiczenie uczniów w przerabianiu zdań i zwrotów mowy najużywańszych. Są to rzeczy bardzo interesujące nauczyciela i dla tego życzylibyśmy sobie w niedługim czasie znaleść gruntowny a wyczerpujący artykuł tej treści w Pamiętniku Instytutu. Wyglądać tego będziemy tym niecierpliwiej, że praca taka musiałaby rzucić nie wątpliwie wiele światła na niejasną naukę składni, na której jeśli nie wiele ciąży zarzutów ze strony gramatyków, — to bez porównania więcej ze strony pedagogów. Wogóle metodyka wiele może zyskać ze strony nauczycieli głuchoniemych, dlatego cieszymy się wydawnictwem takim jak *Pamiętnik Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych i Ociemniałych*. Wydawnictwo to nie potrzebując oglądać się na liczbę prenumeratorów, nie potrzebując się ze smakiem ich liczyć, jako niezależne w warunkach swej egzystencyi śmiało zajaśnieć może i powinno jako pierwsza powaga pedagogiczna, śmiało pod swoją opieką wyprowadzać w świat powinno specyjalne prace pedagogiczne, śmiało ująć powinno ster sądu i krytyki pedagogicznej. Sądzimy, że nie zadługo będziemy mogli w łamach pisma naszego zaznaczyć, że literatura nasza posiada pismo specyjalne pedagogiczne, cieszące się rozpowszechnieniem i powagą między pedagogami.



Wykład chemii organicznej, przekład polski dokonany pod redakcyją D-ra Erazma Langera, przez Józefa Boguskiego i Bronisława Znatowicza.

Do szczupłej ilości dzieł w zakresie nauk ścisłych przybyło literaturze naszej ważne nader, którego tytuł wymieniliśmy. Chemija organiczna niemal z godziną każdą nowe nam przedstawia zdobycze, a w przeciągu ostatniego lat dziesiątka kilka panujących w niej teoryi ustąpiło miejsca innym, będącym podstawą tej nauki. Gdyby więc w literaturze naszej istniały nawet dzieła z tej dziedziny, to pojawienie się przekładu chemii organicznej Schorlemmera byłoby bardzo pożądanym, wiadomo jednak, że nieposiadamy ani jednego dzieła zawierającego choćby pobieżny wykład organicznej chemii, gdyż istniejące pod tym tytułem niegodne są nawet tego miana w obec dzisiejszego stanu nauki. W ocenę dzieła tutaj wdawać się nie będziemy. Zawiera ono „cały obszar współczesnej chemii organicznej" wyłożony w sposób którybyśmy przejrzystym nazwali, nader bowiem łatwo zoryjentować się w każdej jego części, choć trochę obeznanemu z zasadami nauki, co z praktycznych względów jest niezmiernie ważnym. W tłumaczeniu nader starannym zauważyliśmy pewne dopełnienia, których ani w oryginale ani w rosyjskim przekładzie nie ma; wreszcie polski przekład odznacza się starannemi rysunkami, których tam brakuje. Niepodobna również nie zwrócić uwagi na niezwykłą u nas dokładność i staranność wydania i uniknienie tak często przytrafiających się w dziełach tego rodzaju błędów będących wynikiem uciążliwej korekty. Dzieło o którym mowa będzie doskonałym podręcznikiem dla słuchaczów uniwersytetu, zarówno jak i dla każdego wykształconego człowieka, chcącego się bliżej zaznajomić z tą gałęzią nauk przyrodzonych. Podziękowanie się więc należy tłomaczom i wydawcy za podjęcie trudu i kosztu, zwykle tak niewdzięcznego u nas wydawnictwa, gdy idzie o ścisłą naukę. *F. P. k. n. p.*

„*Notatki Adeli*" p. Gustawa Droza przekład J. Pl....ej. Warszawa 1874.

Znany z kilku swych utworów G. Droz spisał z notatek historyją serca młodej kobiety. Szczere aż do naiwności są te wyznania Adeli nieznającej nigdy pieszczoty matki, pani de Lariro, która widuje ją kiedy niekiedy, przebywając w Paryżu, gdy tymczasem ojciec podprefekt Cibot poczciwy, ale niedołęga zajmuje się wychowaniem dziewczyn.

W 11 roku oddana na naukę do klasztoru, opowiada sposób wychowania, fałszywe pojęcia o moralności, mimowolne kłamstwa przy odbyciu pierwszej spowiedzi. Nie rozumiejąc nawet prawie znaczenia grzechu, zmuszona przedstawić obraz przewinień, tak jak wszystkie wychowanki—przepisała dosłownie spowiedź powszechną" z *Kantyczek S-o Sulpicyjusza, dla uczących się katechizmu w zakładach naukowych.* W Paryżu pragnąc coprędzej pozbyć się upokorzeń jakich jej matka nieszczędziła, wychodzi za mąż za p. Laumel człowieka ograniczonego, bez serca. Nie poznawszy wcale macierzyńskiego przywiązania, nie znalazła i w mężu poczucia miłości jakiego biedne jej serce pragnęło—to też mimo długiej walki i oporu poznawszy młodego hr. de Marsil, przystojnego i wykształconego a którego przyjaźń mąż jej wielce cenił —Adela pokochała go z całym zapałem pierwszej miłości. Wkrótce mąż jej umiera, odkrywszy przedtym jej zdradę, robi jej nawet wyrzuty przed zgonem, a nieszczęśliwa Adela nie doznaje żadnej pociechy ani od ojca zniedołężniałego, ani od matki, która została wielce czynną siostrą jakiegoś stowarzyszenia, a nadto wyrobiła mężowi w nim posadę podsekretarza. Hr. de Marsil, który nie uważał za złe kochać się w mężatce i uwieść ją, z wdową zerwał stosunek niepragnąc się z nią ożenić—nieszczęśliwa ofiara złego kierunku wychowania odbiera sobie życie w nurtach Sekwany.

Przekład starannie dokonany odznacza się jasnością i czystością. *H. W.*

ROZMAITOŚCI.

— P. Karol Miklaszewski, otrzymał stopień doktora praw uniwersytetu Jagielońskiego.

— Matejko został zaproszony na członka akademii sztuk pięknych w Berlinie.

— Według wiadomości z Paryża nadeszłych, hrabia Paryża konkuruje o zajęcie wakansu w akademii francuskiej, jaki śmierć Juljusza Janina otworzyła.

— Obecnie, w pobliżu Narwy, w majątku księcia A. M. Dondukowa, p. Seber buduje fabrykę dla wyrabiania papierowej masy z rośliny błotnej, osoki (Carex). Podług doniesienia gazety „Birza", pp. A. Sobera i Spółka znani są już z podobnej fabryki swojej w gubernii Kijowskiej, powiecie radomyślskim, wsi Malinach. Zakład ten przerabia rocznie około 90.000 pudów osoki, a przedstawione przez niego próbki papieru z tej rośliny, mianowicie: do pisania, do owijania, do cukru i t. p., zwróciły na siebie powszechną uwagę. Towarzystwo mające prawo korzystania z przywileju przerabiania osoki na papier, zamierza prowadzić zakład około Narwy takim sposobem, aby wyrabiać w nim tylko masę papierową do fabryk papieru, znajdujących się w pobliżu Petersburga, dla przerabiania na papier do pisania i inne gatunki. Na wiedeńskiej wystawie powszechnej, na której była wystawiona masa z osoki, oraz próby rozmaitych papierów przygotowanych z tej masy, bez żadnego dodatku innych przymieszek, wyroby te uzyskały nagrodę.

—Konserwowanie mięsa.—Żeby podczas letniego gorąca utrzymać mięso w świeżości, Japończycy radzą sobie w sposób następujący: kładą mięso w miskę porcelanową i nalewają na nie gorącej wody, tak żeby je w zupełności pokrywała; następnie wlewają jeszcze na wierzch pewną ilość oliwy. W taki sposób mięso jest zupełnie zabezpieczone od wpływu powietrza i zachowuje się dobrze. Ścinanie się białka na powierzchni mięsa od gorącej wody, zdaje się również przyczyniać do jego konserwacyi.

— Senatowi uniwersytetu londyńskiego przedstawiono projekt „udzielania kobietom stopni doktorskich" ale odrzucono go większością 17 głosów przeciwko 10-ciu.

ODPOWIEDZI.

P. *J. Kołacz.* Artykuł o szkołach i zakładach dobroczynnych w Nowym Yorku, ma swoję wartość, ale dla ogółu czytelników zbyt mało przedstawia interesu. My zaś mamy tak mało miejsca, że niepodobna nam umieszczać rozpraw tak specyjalnej treści. Artykuł jest do zwrotu.

P. *M. Cybul.* Żałujemy, że pan nieznasz się na tych rzeczach. Według tejże zasady ułożony elementarz Haestersa, ma już 496 wydań! — Równie licznie rozchodzą się w Niemczech książki w rodzaju naszej Nauki o rzeczach; szkoda tylko, że książka *sama* nie nauczy dziecka i że na nieszczęście trzeba jeszcze żeby nauczyciel *chciał* i *umiał* jej użyć.

P. *Br. Zam.* w Gostkowie. Dziękujemy za słowa uznania. Biblijoteczka pedagogiczna wysłana. Tom 6 od kilku tygodni wydany, niemoże jeszcze być puszczonym wobieg zprzyczyn od nas niezależnych. Mamy nadzieję, że przeszkoda zostania usuniętą, wtedy roześlemy natychmiast reszcie prenumeratorów.

P. *Chodźko* w Pińsku. Raczy się pan upomnieć o brakujące Nry .na poczcie, gdyż takowe jak najregularniej bywają wysyłane.

P. *Cholewińskiemu* w Podhaju. Z 15 rubli nadesłanych przez pana, zatrzymaliśmy na Opiekuna rs. 5 a po oddaniu do Redakcyi Wieku rs. 6, dla pani Pilsadskiej w Rydze za kw. I i III— pozostało na biblijoteczkę domową rs. 4, t. j. I rata—a II nieopłacona.

P. *Hłasko* w Zamrzonach. Opiekun opłacony za 1 półrocze, które się kończy na N. 25 należą pani tylko dodatki za maj i czerwiec, wyślemy razem obydwa. Wychowania opłacono 1 ratę; dotąd wyszło tomów 6.

P. *Krzyżanowskiemu* w Czerpowodzie. Wychowania Domowego po raz drugi wysyłamy, t. 1, 2, 3, 4 i 5.

P. *Mitlewitschowi* w Ekatarynburgu. Niwa rocznie kosztuje z wysyłką rs. 9. Na wychowanie nadesłałeś pan rs. 1 kop. 50 za wiele, kwota rzeczona pozostaje do dyspozycyi w księgarni A. Kowalskiego.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.